

Irena Szypowska

Nagle urodzona miłość : (J. Łobodowski w Hiszpanii)

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 2, 69-86

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

SZKICE I PRZYCZYNKI

NAGLE URODZONA MIŁOŚĆ **(J. ŁOBODOWSKI W HISZPANII)¹**

Irena SZYPOWSKA (Warszawa)

„Nagle urodzona miłość
nie zestarzała się dotąd, nie zwiędła,
i miasto jest mi dzisiaj jak stara legenda,
w której się śniło, lecz nic nie ziściło.”
(J. Łobodowski, *Noc nad Madrytem*)

W 1943 roku po raz pierwszy zobaczył Łobodowski Madryt i spodobało mu się to miasto². W następnym roku spędził w nim kilka miesięcy i bardziej je polubił, a w lipcu 1945 zamieszkał na stałe tam, gdzie „ledwie się sączy chudy Manzanares”.

Pierwszym Polakiem, jakiego spotkał w Madrycie, był Juliusz Babecki, ożeniony z Hiszpanką, ówczesny delegat PCK przy ambasadzie brytyjskiej w Madrycie (pierwszym był książe Władysław Radziwiłł). Rodzina Babeckich zapewniła Łobodowskiemu oparcie i opiekę w pierwszych latach pobytu w Hiszpanii. Delegat cenił przybyśza jako wybitnego poetę i inteligentnego rozmówcę, a przy tym erudytę, świetnie znającego historię i dobrze zorientowanego w politycznej sytuacji Europy. Przewidywał trafnie, że jego indywidualność zaznaczy się korzystnie na wspólnych pracach podejmowanych przez Polaków osiadłych w Hiszpanii. To sprawiło, że z poczuciem humoru i wyrozumiałością przyjmował jego prowokacyjny sposób zachowania, zwłaszcza wobec wysoko urodzonych rodaków oraz utytułowanych i nadzwyczaj bogatych cudzoziemców, z którymi Babeccy utrzymywali przyjazne i towarzyskie kontakty. Sympatię tę, bardzo mocno

¹ Poniższy tekst zawiera wybrane przez Redakcję fragmenty rozdziałów IX, X i VIII przygotowanej do druku monografii Józefa Łobodowskiego „Od atamana Łobody do *señora Lobo*” autorstwa Ireny Szypowskiej.

² Józef Łobodowski w sierpniu 1941 usiłował przedostać się przez Pireneje i Hiszpanię do Anglii. Aresztowany przez policję hiszpańską został osadzony w więzieniu w Figueras, gdzie pozostawał do lutego 1943. (Red.)

odwzajemnioną, odziedziczyła po ojcu Karolina, dodając do tego dziewczęce uwielbienie dla „prawdziwego” poety, przekształcone potem w lojalną gotowość pomocy zawsze, gdy zachodziła potrzeba.

Z tego pierwszego okresu pochodzi żartobliwy list do Linki, napisany przez poetę 12 lipca 1944 roku nad morzem Śródziemnym, dokąd się udał po prostu dla przyjemności na zasłużone powojenne wakacje. Przepisuję ten list z oryginału, który mi ofiarowała adresatka:

„Ohydna Elefantyno!

Jestem w Barcelonie! Wycieczka była cudowna. Sześćset km na pedałach. Komary gryzły, na nogach porobiły się bąble, ale za to kapalem się w górskich rzekach, widziałem kilka pięknych wschodów i zachodów, słuchałem śpiewu ptaszków, słowem te wszystkie rozkosze, które nigdy nie będą udziałem nędznych mieszczuchów i są niedostępne dla ohydnej Elefantyny, bo by jej nogi w kostkach połamały się zaraz na piątym kilometrze!

Niech żyje poezja i turystyka, czyli turyści piszący wiersze, czyli wiersze chodzące na spacer, czyli poeci uprawiający turystykę! Precz z myślami, tumanami i harryliedkizmem! (Wtrącić tu muszę, że ksiądz Liedtke kierował Towarzystwem Pomocy Polakom — I.Sz.)

Elefantynko! — jestem roztrzępany i zapomniałem na śmierć o jednej rzeczy. W szafie wśród moich szpargałów znajdują się dwie *carpety* żółte z wierszami itd., których potrzebuję. Jeśli będzie jakaś okazja w tych dniach, przysłać proszę koniecznie. Odpisać. Tłumaczyć *Tauromachię*.

Czołem, społem, niebawem. Pozdrowienia dla Koniczka, Taty, Ryłskiego

J. Łobodowski”

Wakacje wakacjami, ale oddawać się wyłącznie rozkoszy słodkiego nieróbstwa — to nie było w stylu Łobodowskiego. Zawsze coś pisał, zawsze miał na warsztacie jakieś wiersze lub artykuły. Ledwie więc dotarł do Barcelony, już odczuł brak swoich żółtych teczek z rękopisami.

Z Karoliną Babecką spotykałam się wielokrotnie w Madrycie w latach 1981–1992. Zwykle zachodziłam po nią do jej butiku *Linkaya* i czekając na wyjście klientki rzucałam okiem na eleganckie kreacje, ale podziwiałam portrety i pejzaże Pedro Borela, znanego malarza, nie żyjącego już męża Karoliny. Potem słyśmy coś zjeść do którejś z pobliskich restauracji. Obie lubiliśmy merlużę — pyszną rybę morską z dobrym białym winem. Potem jakiś deser, kawa. Opowiadała mi wtedy o Łobodowskim, z którym pracowali razem w polskiej audycji i w redakcji „Polonii”. Linka jest atrakcyjną kobietą, wysoką i zgrabną, pełną temperamentu, mającą mnóstwo wdzięku i dar zjednywania sobie przyjaciół miłym usposobieniem i poczuciem humoru, gościnnością i bezpośredniością odnoszenia się do ludzi. Już podczas pierwszego spotkania poczułam się dobrze w jej towarzystwie.

Mówiła mi, że zarówno poselstwo jak i PCK pomagały Łobodowskiemu, chociaż było to trudne, bo pil i awanturował się właśnie w takich sytuacjach, które były specjalnie tworzone po to, by uzyskać dla niego jakieś stypendium, dotację, czyli po prostu pieniądze, których zawsze potrzebował. Pewnego razu pani Babecka urządziła przyjęcie dla księcia Hernani i dla księcia Platerra. Na stole postawiła wazon z mocno pachnącymi gardeniami, mającymi zagłuszyć ewentualny naturalny zapach poety. Obaj utytułowani przybyli punktualnie, ale na Łobodowskiego trzeba było czekać godzinę. Wreszcie dzwonek, po chwili służąca dyskretnie wywołuje panią. Okazuje się, że *senior Lobo* jak go nazywali Hiszpanie, (*lobo* — znaczy wilk) ledwie się trzyma na nogach. Coś trzeba zrobić. Panie puszczają wody do wanny, w nadziei, że kąpiel go otrzeźwi. *Don José*,

zostawiony sam, wchodzi w ubraniu do wanny i po chwili, ociekający wodą, zjawia się w salonie. Schnie, a jego ubranie czuć coraz bardziej. W dodatku ostentacyjnie zwraca uwagę na efektowny złoty zegarek Platera. Linka zapamiętała, że to się nawet podobało jej ojcu, bo nie przepadał za nadętym właścicielem czasomierza. Ale w tej sytuacji załatwienie subwencji było już nadzwyczaj trudne!

Zapraszano poetę także na wernisaże Pedro Borela. Bywało na nich najlepsze towarzystwo, arystokracja, bankierzy, artyści. O poziomie kulinarnym przyjęć świadczy to, że podawano aperitify od Chicota z Gran Vía, najbardziej znanego lokalu w Madrycie. Łobodowski, jeśliby zrobił dobre wrażenie, mógłby skorzystać ze znajomości z ludźmi tam bywającymi. Korzystał w sposób specyficzny. Pewnego razu rzucił się na wielkiego bankiera jak Don Kichot żądający uznania dla swojej Dulcyniei: „Jeśli nie przyzna pan, że to są najpiękniejsze nogi na świecie (nogi żony malarza) to...” I pokazał swoje mięśnie i pięści.

Pewnego razu wydano obiad, na którym Łobodowski miał poznać osobiście profesora Matero, wielką sławę. Panowie przypadli sobie do gustu i lekko zawiani opuścili jednak szczęśliwie dom pani Babeckiej. Od razu pojechali do instytutu podpisać jakąś umowę. Tam jednak *don José* już nie wytrzymał. Gdy profesor opuścił go na chwilę, chwycił drabinę malarską (był remont) i zaczął z nią chodzić po całym gmachu, a potem wszedł do pokoju maszynistek i rzucił się do nóg jednej z nich z wyrazami uwielbienia. Profesor oderwał go z wielkim trudem, wyprowadził i nawymyślał mu w samochodzie. Łobodowski w odpowiedzi tak serdecznie go ścisnął, że fajką, którą miał w kieszeni, złamał profesorowi żebro.

Ileż takich anegdotek opowiedzieli mi przyjaciele poety w czasie naszych spotkań, kiedy jego już zabrakło! Wynikało z nich, że Łobodowski był nieznoszny, ale i kochany, drażniący, ale i pożądany, nieobliczalny, ale niezastąpiony. Jego odejście polski Madryt boleśnie odczuł. Ale lubili go także Hiszpanie. Na czym opierała się ta sympatia? Może wyjaśni to fraszka:

*Niewyparzeni w gębie i do bitki skłonni,
niesłowni, niezaradni, hardzi, nieporządni;
gdy trzeba się postawić, własne portki sprzeda,
a u góry bałagan, a w komorze bieda,
piękne gesty na wynos i miny kogucie.
Był tu kiedyś dobrobyt, ale szybko uciekł,
więc nikogo na świecie nie szacują taniej.
Czy to fraszka na Polskę? Nie, to na Hiszpanię...*

Łobodowski przybył do Madrytu jako trzydziestoczeroletni mężczyzna, odszedł — z miasta i z tego świata w siedemdziesiątym dziewiątym roku życia. Poznał Madryt i opiewał go w wierszach tak jak Lublin, miasto swej młodości. Z goryczą jednak stwierdzał: „Emigranci nie mają domu, choćby mieszkali w luksusowych willach z pięknym ogrodem i luksusowym samochodem w garażu. Nie mają domu, bo jego fundamenty nie mają pod sobą ojczyźnej ziemi. Ale zdarza się, że ojczyzna staje się obca i dom przestaje być domem”. Tę myśl zapisał jesienią 1974 w dużym niebieskim notesie. Miała ona charakter ogólny, ale odnosiła się przede wszystkim do autora tych słów. Będąc bezdomnym w sensie dosłownym i przenośnym musiał przynajmniej mieć swoje, choćby zastępcze, miejsce na ziemi, swoje miasto. Budował je, chłonąc wszystkimi zmysłami jego kształty, barwy i wonie, wydeptując stopami jego kamienie, studiując jego przeszłość, poznając mieszkańców, wglębiając się w tajniki mowy.

Najlepszej woli i wielkiego wysiłku wymagało uczynienie Madrytu miastem bliskim i ukochanym, a Hiszpanii przybraną ojczyzną. Czy osiągnął to? Z jego poezji nigdy nie zniknęły zachwyt i tęsknota do ziemi ojczystej, choć pojawił się sentyment do miasta nad Manzanares, sentyment, który w miarę upływu czasu rósł, ale ogarniał raczej miasto z pierwszych lat pobytu, bardziej swojskie i pełne nadziei niż późniejsze — wypełniające się poczuciem niespełnienia.

*Jest późna jesień i jeżeli w Guadarramie
śnieg wczoraj upadł, lodowaty wiatr
powieje miastem. Ileż trzeba lat,
by te ulice tak mocno wydeptać,
aż stopę twoją poznają na pamięć?
Wspomnij samego siebie w drzew uśpionych szeptach,
ich głos na pewno twym myślom nie skłamię,
jest taki sam jak wtedy, gdy przedwczesna zamieć
tu cię przyniosła i rzuciła
na łaskę losu.*

Jest to początek wiersza *Noc nad Madrytem*. Przysłał mi go autor do Warszawy, gdy prosiłam o jakiś utwór przedtem nie publikowany, aby go dołączyć do tekstu rozmowy z nim, drukowanej w „Poezji” w 1988 (nr 6).

Przez czterdzieści pięć lat Madryt zmieniał się, stawał się coraz zamożniejszy, coraz świetniejszy, nabierał rozmachu i upodabniał do innych europejskich metropolii. Łobodowski jednak, podobnie jak rdzenni starzy mieszkańcy, stwierdzał ze smutkiem, że po Madrycie, który był jego miastem, zostały tylko „żałosne szczątki, nieskoordynowane fragmenty, niczym ruiny starożytnego Pestum”. On z sentymentem wspominał biedny powojenny Madryt, będący nie tyle, albo nie tylko, jedną ze wspaniałych stolic naszego kontynentu, ale ośrodkiem życia Kastylii, prowincji pulsującej własnym rytmem. W małym notesie, prowadzonym w kwietniu i maju 1980 roku znalazłam *Requiem dla miłego miasta*³, czyli wspomnienie tego, czego już nie ma:

„Chodziły jeszcze przedpotopowe tramwaje, tak powolne, że można było doganiać je w biegu, samochodów widziało się bardzo mało, prawie wszystkie ciągnęły za sobą przyczepki zwane *garaganami*. Bojkot gospodarczy spowodował brak benzyny, owe *garagany* to były piecyki, w których palono drewniane polana i gorące powietrze wraz z gazem dochodziło do motorów. Ach, i jeszcze można było złapać staromodną jednokonną dryndę z tradycyjnym «simonem» na koźle.

Coraz to w ludniejszych miejscach przystawały grające szafy, czyli *organillos*, ciesząc swymi tanecznymi melodiami, ale także ariami z operetek, jakże popularnych w owym okresie, a zwanych tu *zarzuelas*. W niezliczonych barach i kawiarniach urzędowali czyściciele butów, *limpiabotas*, mający swoją stałą klientelę. Można było także kupić u nich papierosy, cygara, bilety na najbliższą *corridę*, a nawet losy loteryjne. Zawód pucybuta nie był uważany za uwłaczający godności osobistej. W nieistniejącym już dziś barze Padilla pracował starszy jegomość, który uprzednio objechał pół świata, nieźle znał francuski i angielski, zwracano się do niego z szacunkiem per *don Ramón* i można było zaobserwować, jak wzięty adwokat, znany doktor albo major w mundurze, po zapłaceniu za wypucowanie butów na glanc, podawali mu ręce, częstowali papierosem i żegnali się uprzejmie: *Gracias, don Ramón, hasta la vista!* (dziękuję, do widzenia!)

³ Zob. J. Łobodowski, *Podzwonne po miłym mieście*, Wiadomości 1981 nr 3 (1816). (Red.)

W pewnych porach roku pędzili stada owiec do Ekstramadury w poszukiwaniu pastwisk. Dziś już tego spektaklu nie uświadczy, ale w tamtych czasach widywało się go często: przodem szło paru pasterzy spalonych na brąz przez słońce, za nimi kierdel ciasno zbity w kupę i opędzany z boków przez uważne owczarki. I całe towarzystwo waliło spokojnie przez ulicę Alcalá, Plaza Independencia, Cibeles, Gran Vía, przez sam środek Madrytu. Policjanci pomagali psom, pilnując, aby się żadna owca nie urwała, a nieliczne samochody cierpliwie czekały, aż się ta wiejska ferajna przewali ku południowym dzielnicom stolicy. Niezapomniane wrażenie.”

Szczególnie mocno przeżywał poeta tradycyjne uroczystości odprawiane w Wielkim Tygodniu. Jeszcze teraz w bardzo wielu małych miasteczkach w nocy w Wielkim Tygodniu odtwarzane są na placach i ulicach, w kilku punktach niedalekich od siebie, główne sceny z męki pańskiej i zmartwychwstania. W tym spektaklu bierze udział cała ludność: jedni jako aktorzy, inni jako widzowie. Oglądałam to widowisko w Carabaña, niedaleko Madrytu. Mała dziewczynka, córeczka znajomych, nagle chwyciła mnie za rękę i wyszeptala głosem pełnym współczucia: *pobre Antonio!*, rozpoznając w postaci Chrystusa swego kuzyna przybijanego do krzyża. Za to potem następuje rekompensata: zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu towarzyszą nadzwyczajne efekty świetlne i dźwiękowe — sztuczne ognie i triumfalna muzyka. Wszystkich ogarnia radość i poczucie braterstwa. W Wielki Piątek w samym Madrycie można jeszcze teraz zobaczyć procesję pokutną, w której idą ludzie bosy, w habitach z kapturami nasuniętymi na twarze, niosący krzyże lub ciągnący łańcuchy.

„Trzeba było być w Wielkim Tygodniu w Madrycie i w innych miastach hiszpańskich — pisze Łobodowski. Procesja swoją drogą, ale trzeba było widzieć te tłumy kobiet, głównie młodych dziewcząt, które w Wielki Czwartek i Piątek wylegały na ulice w czarnych, jednakowych sukniach, w równie czarnych koronkowych mantylkach, spiętych na wysokich grzebieniach. Ten strój uzupełniały różańce, modlitewniki i kwiaty: czerwone goździki, albo żalobne fiołki. W tym roku łąziłem parę godzin po ulicach i upolowałem dwie starsze panie tradycyjnie ubrane. Jak szybko zanikają w tym kraju najpiękniejsze zwyczaje!” Dziewczeta w czarnych sukniach i koronkowych mantylkach wkrótce powrócą do naszej opowieści, tymczasem jednak czytamy dalej *Requiem*:

„Madryt jest miastem stosunkowo młodym, stolicą stał się po raz pierwszy za Filipa II, ustalił się w tej roli w kilkadziesiąt lat później, rozrósł się i ozdobił dopiero za Burbonów, głównie za Karola III. Do historii przeszedł bardziej jako znakomity burmistrz Madrytu niż król hiszpański. Z pomników architektury, które powstały za jego panowania, wymienić należy przede wszystkim Łuk Triumfalny na Placu Niepodległości, wsparty na czterech potężnych kolumnach (a więc trzy luki). Został zbezczeszczonej wielkości portretem Lenina, Stalina i Woroszyłowa. Oczywiście, oglądałem go tylko na fotografii. Gran Vía podczas wojny domowej nazywała się Avenida de Russia.

Najpiękniejszą ulicą w tamtym Madrycie była Castellana, długa arteria idąca jak sierpem rzucił od Cibelles aż na podmiejskie wydmuchy. Domów czynszowych tam prawie nie było — wielkopańskie pałace i renesansowe, barokowe, rokokowe w stylu Drugiego Cesarstwa. Tych pałaców już nie ma, poszły na złom, a na ich miejsce powyrastały masywy banków i bardzo brzydkie drapacze chmur. Chyba właśnie na tym odcinku zadano Madrytowi najgorszy, najbardziej barbarzyński cios. Definitywny i nieodwołalny.”

Wojna domowa skończyła się w 1939 roku, ale zniszczenia były ogromne. Łobodowski pamięta: „*Ciudad Universitaria* (miasteczko uniwersyteckie) leżało w ruinach i dopiero zaczęto je odbudowywać. Przez blisko trzy lata przebiegał tędy front wojny do-

mowej i walka toczyła się często w tym samym gmachu, gdy republikanie siedzieli na dolnych piętrach a *nacionales* (narodowi) na górnych. Zanim przystapiono do odgruzowania, trzeba było najpierw oczyścić teren od min i pocisków, które nie wybuchły. Najpierw szli saperzy, dopiero po nich murarze.

W 1940 Madryt miał milion mieszkańców. W 1950 — jeden milion sześćset tysięcy, teraz cztery miliony. Stało się to na skutek imigracji. Było dużo nędzy. Po zniszczeniach przewlekłej wojny domowej, Hiszpania miałaby szansę na szybkie odrodzenie, gdyby nie to, że w kilka miesięcy później wybuchła druga wojna światowa. Podczas pierwszej państwa neutralne zarabiała i bogaciły się, teraz stało się odwrotnie. Franco nie dał wciągnąć Hiszpanii do wojny. *El Duce*, Mussolini skończył na rzeźnickim haku w Mediolanie, Franco żył jeszcze trzydzieści lat. Gdy skończył się bojkot dyplomatyczny i gospodarczy, kraj zaczął szybko dźwigać się z gruzów i stawać na nogi. Po paru kolejnych amnistiach rozładowały się więzienia przepelnione uprzednio więźniami politycznymi. Intensywnie rozwijał się przemysł, zarobki szły w górę, choć na dobrobyt trzeba było jeszcze poczekać sporo lat. Zniesiono plagę pierwszego okresu powojennego: kartki żywnościowe [...]. Jeszcze w drugiej połowie lat czterdziestych Madryt zapadał wieczorami w egipskie ciemności, nieco później tonął w powodzi światel. Większość barów i lokali publicznych pozostawała otwarta do drugiej i trzeciej godziny nad ranem. Śródmieście było bardziej ożywione, ludne o północy niż w południe. Obecnie ludzie idą spać wcześniej, gdyż łażenie w późnych godzinach stało się niebezpieczne. Zbrojne napady, zamachy, porywanie dziewcząt, «asfaltowa dżungla» itp. [...].

...tamtego Madrytu, jaki kiedyś lubilem już nie ma i nigdy nie będzie. Ach nie! Nie chcę przesadzać! Spotykam jeszcze dość często starsze osoby, których obecność sprawia, że za wcześniej na definitywny pogrzeb. Ale należą do pokolenia odchodzącego.

Na zakończenie tych żalów sprawa najważniejsza i najboleśniej mnie dotykająca. Wina. Przez długi czas o jego fałszowaniu w Hiszpanii nie było nawet mowy. Przyszło z zagranicy razem z innymi nowinkami: z wyjcami na scenach, w radio i telewizji, z łańcuchami, nazywanymi tańcem, z pornografią, z dzinami i innym paskudztwem.

Istnieje porzekadło: *Al pan — pan, al vino — vino*. (Chleb nazywaj chlebem, wino — winem.) Tak było zawsze. A dziś, gdy prosisz szklanke wina, nie wiesz, czy zrodziła go uczciwa winna latorośl, czy dłoń szalbierskiego chemika. Tylko głębokiej wsi ta zbrodnia jeszcze nie dotknęła [...].

Mieszkam w ciasnym pensjonarskim pokoiku, zawalonym aż do sufitu papierami i książkami, więc nie lubię w nim pracować. Chodzę do baru, piszę teksty ołówkiem, a potem wpadam do pensjonatu, by je szybko przepisać na starym, ale wciąż jeszcze dziarskim Remingtonie (trzydziesty drugi rok w ciągłym użyciu). Oczywiście, przepisywanie gotowych tekstów na maszynie idzie szybko, więc większość czasu spędzam w barze, co wymaga ciągłych wydatków na czerwone wino. Z koniaku zrezygnowałem już dawno, wódkę pijam parę razy w roku od wielkiego dzwonu, whisky tylko podczas rzadszych wypadów do Londynu. Więc czerwone wino (po hiszpańsku *vino tinto*).

Może to tylko podzwonne po moim pokoleniu, po moim sposobie odczuwania i myślenia, po mnie samym, po moich planach i nadziejach? Właśnie wpadła do baru pięcioletnia dziewczynka, moja dobra znajoma z wielkim brytanem, którego trzyma na smyczy, zaraz go uwiąże przy balustradzie schodów i podejdzie do stolika, aby mnie poprosić o pięć peset, lubi grać na rozrywkowej maszynie, a że jest za mała, przystawia krzesło i gramoli się na nie z wielkim trudem.

Bar znajduje się w dzielnicy przylegającej do miasta uniwersyteckiego, więc roi się tu od studentów i studentek, dopiero wchodzących w dorosłe życie. Są mili, radośnie uśmiechnięci, palą papierosy, piją piwo i brzydtko klną, co już tu się stało powszechnym obyczajem i nikogo nie dziwi. Politycznie są — prawie wszyscy! — niedorozwinięci, nie

mający pojęcia o śmiertelnych niebezpieczeństwach, zagrażających temu miastu, temu światu i im wszystkim. Nie słyszą dzwonów, bijących na alarm, a mój pesymizm, gdy od czasu do czasu otwieram gębę, przypisują zgorzkniałej starości. Oby ich nieświadomość okazała się słuszniejszą od moich złych przeczuć. Oby!”

W tej samej dzielnicy, możliwe nawet, że w tym samym barze, trzydzieści lat wcześniej także spotykał Łobodowski studentów, ale tamci słuchali go z podziwem i aprobatą, choć niewiele był starszy od nich.

W okresie powojennym działała w Europie Katolicka Organizacja Pomocy Studentom z Krajów Okupowanych przez Komunistów *Pax Romana* zajmująca się byłymi żołnierzami ze wschodniej części Europy. Jej prezesem był Hiszpan Ruiz Jiménez, późniejszy ambasador przy Watykanie i minister oświaty. Zachęcał on młodych do osiedlania się za Pirenejami, gdzie kandydaci na studia mogli liczyć na pomoc instytucji *Obra Catolica de Asistencia Universitaria*. Mieli zapewnione bezpłatne studia, wyżywienie, ubranie, podręczniki i komunikację. Żadne państwo europejskie nie przyjmowało tak chętnie i nie pomagało tak skutecznie. Madryt przeznaczył dla cudzoziemskich studentów sześciopiętrowy gmach w miasteczku uniwersytetu Complutense. W ośrodku studenckim mieszkali oprócz Polaków Ukraińcy (przeważnie dawni członkowie UPA i SS Galizien będący absolwentami polskich gimnazjów ze Lwowa i okolic, często nie znający języka ukraińskiego, ale uprzedzeni do Polaków), Białorusini, Bułgarzy, Węgrzy, Słowacy, Chorwaci i Litwini. Naprzeciwko był drugi dom dla studentów z Ameryki Łacińskiej, stąd bliskie wzajemne kontakty. Działał międzynarodowy chór, odbywały się imprezy sportowe, kwitło życie towarzyskie, tak ważne dla młodych ludzi przebywających z dala od rodzin i dawnych przyjaciół.

Hiszpanie przywiązywali wielką wagę do nowoczesnego i chrześcijańskiego wykształcenia *futuros dirigentes*, którzy w przyszłości mieli zająć w swych krajach wybitne stanowiska pozostając przy tym przyjaciółmi Hiszpanii. Polakami opiekowały się także rodzime organizacje. Najważniejszą było Towarzystwo Pomocy Polakom, pracujące najpierw pod kierunkiem księdza Antoniego Liedtke (który jednak bardzo wcześniej wrócił do Polski i zamieszkał w Tczewie, gdzie opiekował się zabytkowym kościołem) a potem pod kierunkiem Juliusza Babeckiego (późniejszego delegata PCK, jak już wiemy).

Zaraz po wojnie studiowało w Madrycie około pięćdziesięciu Polaków; najliczniejsi byli żołnierzami 2. Korpusu, zdobywcami Monte Cassino, dziewięciu dotarło ze Szwecji (ci nielegalnie opuścili kraj już po wojnie w obawie przed aresztowaniem i uwięzieniem za powojenną działalność konspiracyjną lub wojenną przynależność do „niesłusznych” organizacji), pewna liczba przybyła z Niemiec, gdzie pracowali przymusowo, niektórzy z Francji.

Łobodowskiemu powodziło się nieźle, potrzebował jednak towarzystwa. Ogromnie się ucieszył na wiadomość, że przyjeżdżają rodacy na studia do Madrytu. Gdy dowiedział się, że pociągiem z Walencji przybywa grupa Polaków, która znalazła się po wojnie w Szwecji, pojechał po nich na dworzec. Zaprzyjaźnił się z nimi, pomagał. Sytuacja Hiszpanii w tym czasie była bardzo trudna, wszystko było na kartki, nie było nawet chleba. Jego przyjaciele, ówczesni studenci, pamiętają do dziś, jak przynosił do akademika kilogramy słoniny i różne inne produkty, a Zbyszek Jankowski z Krakowa, najsprawiedliwszy i najbardziej pedantyczny, wszystko to dzielił po kawalku. „Józio był bardzo dobrym człowiekiem, a w nas zobaczył ludzi, wobec których tę swoją naturalną dobroć mógł realizować.” — Tę opinię po wielokroć i bardzo dobitnie powtarzał najbliższy przyjaciel Józia, Kazimierz Tylko, tak jakby bardzo mu zależało na tym, abym to właśnie zapamiętała przede wszystkim i powtórzyła dalej.

„Dawał wam dużo, ale i wy nie skąpiliście mu siebie, dostawał od was to, czego najbardziej na obczyźnie potrzebował” — odpowiadałam. „Przede wszystkim ważne było to — zgadzał się Kazek — że my byliśmy żywymi reprezentantami rzeczywistości polskiej, a nawet europejskiej, bo Józio i wśród studentów Ukraińców, co już stanowi razem sto osób, miał wysoką pozycję. Wszyscy, absolutnie wszyscy byliśmy zachwyceni jego poezją i stąd on zawsze mógł przedstawić swe utwory przed pierwszą, może nieważną, ale jednak krytyką. Tam, gdzie my i nasi koledzy mieszkali, miały miejsce pierwsze jego publiczne wystąpienia. Był niezrównanym recytatorem swych wierszy oraz dyskutantem w sprawach politycznych, społecznych, w sprawach ogólnych.” Potwierdzał to Mirosław Sokołowski: „Łobodowski miał pewną słabość, nie mówię tego w sensie pejoratywnym, bo wszyscy mamy słabości, u niego był to egocentryzm. Zaczynał każde zdanie od „ja”. Jego osobowość go do tego upoważniała. On potrzebował ludzi, którzy nie tylko go oklaskiwali, ale przede wszystkim słuchali go i znalazł tych ludzi. Łobodowski siedział koźniami w naszej tradycji. I może to nas łączyło z nim? Bo my byliśmy wychowankami polskiego gimnazjum i liceum, przesiąkniętymi duchem polskiego romantyzmu i w Łobodowskim znaleźliśmy tę cudowną, wspaniałą nutę. Rozmawialiśmy na tej samej fali. Jemu można było coś szczególnego powiedzieć i on to słyszał. Ile razy mi powiedział: «Nie wylewaj waćpan wina!» kiedy potraciłem szklankę czerwonego wina, którą on zawsze miał pełną”.

Świeżo upieczeni studenci, mający za sobą nie uczniowską, ale żołnierską przeszłość, potrzebowali towarzystwa tego starszego trochę od nich, ale mającego młodzieńcze usposobienie, mężczyzny, człowieka o obyczajach swobodnych, znającego świetnie historię, ocytanego w literaturze, błyskotliwego w rozmowie, tryskającego humorem, mówiącego barwnie i cudownie recytującego swoje wiersze. Uniwersytet kształcił zawodowo i wprowadzał w kulturę Hiszpanii. Łobodowski podtrzymywał poczucie narodowe i rozwijał rozumienie tradycji. I na tej zasadzie powstała nowa bohema, polsko-hiszpańsko-ukraińska, mająca swoje ulubione miejsca, swoje sposoby spędzania czasu. W jednym z barów, początkowo był to Palciacow, położony blisko miejsca zamieszkania studentów, stworzył dla najbliższych „biuro”, w którym co dzień od godziny wpół do szóstej wieczorem „zatrudniał” swoich przyjaciół jako „urzędników”, a młode Hiszpanki w charakterze „sekretarek”. „Atramentem” wypełnione były staroświeckie kwadratowe butelki czerwonego wina rozlewane do „kałamarzy”. „Pracowali” bardzo chętnie, nawet w niedziele, zaraz po mszy świętej, zaniedbując nieraz spotkania organizowane przez Mariana Walorka, młodego wówczas księdza, byłego więźnia obozu Dachau, przybyłego z Niemiec w charakterze duszpasterza studentów. Na jego wymówki jeden z gorliwszych „urzędników” odpowiedział pewnego razu, że nawet o religii więcej się dowiaduje w „biurze” niż w kościele (co mu ksiądz do śmierci żartobliwie wypominał). Gdy „biuro” zostało zamknięte, utworzyła się „konfederacja barska”, która przetrwała do lat ostatnich. Idąc w parafrazy z polską literaturą, można było powiedzieć: „Bar wzięty”.

Po skończeniu studiów wielu Polaków (i Ukraińców) opuściło Madryt, a nawet Hiszpanię, ale zostali ci „konfederaci”, którzy od samego początku najserdeczniej zaprzyjaźnili się z poetą i brali udział w wielu wspólnych poczynaniach. Byli to: Stanisław Rylski (naprawdę nazywał się Rymaszewski), Kazimierz Tylko i Mirosław Sokołowski.

Stasia Rylskiego (zawsze tak o nim mówiono) nie znalazłam osobiście, ale często go wspominało. Pochodził ze szlachty polskiej osiadłej na Białorusi, przed wojną był jednym z założycieli LOT-u i pracował w Polskich Liniach Lotniczych jako księgowy. Podczas wojny służył w pułku lotniczym. Bardzo przez wszystkich lubiany, nazywany był „dobrym duchem polonii”. Gdy tylko ukazał się tomik *Modlitwa na wojnę* 24 czerwca 1947 r. autor podarował go przyjacielowi ze słowami: „Stanisławowi Rymaszewskiemu

przyjazny uścisk dłoni i żeby się modlił o przyszłą dobrą wojnę”. Po śmierci Stasia ta książeczka wróciła do poety. Odnalazłam ją wśród różnych papierów, książek i gazet.

Kazimierz Tylko-Dobrzański urodzony w 1921 r. do gimnazjum chodził w Krakowie. Podczas wojny działał w Armii Krajowej, po wojnie w NSZ. W obawie przed represjami w 1946 uciekł do Szwecji, gdzie zaproponowano mu wyjazd do Madrytu i stypendium *Pax Romana*. Studiował nauki ekonomiczne. Był bardzo aktywny w środowisku studenckim. To on prowadził chór męski, złożony ze studentów dziewięciu narodowości, śpiewający po łacinie, po polsku, rosyjsku i ukraińsku. Po zrobieniu dyplomu pracował w towarzystwie lotniczym Iberia, uważał jednak, że jako Polak nie ma wielkich szans, więc po trzech latach zrezygnował i zajął się sportem, który go zawsze pasjonował. Jeszcze w Polsce uprawiał lekkoatletykę i myślał o udziale w olimpiadzie 1942 roku, do której jednak nie doszło. Uprawiał sport między innymi jako zawodnik i sędzia Real Madrid. Wprowadził na boiska hiszpańskie siatkówkę, nie znaną wcześniej w tym kraju. Własne wszechstronne doświadczenia i przygotowanie teoretyczne wykorzystał tworząc w Instytucie Wychowania Fizycznego (analogiczny do naszej AWF) instytut dokumentacji sportowej najwyższej klasy. Przez jedenaście lat był prezesem Międzynarodowej Organizacji Dokumentacji Sportowej. Wydawał miesięcznik „Deporte dos mil”. Dzięki swej pozycji bardzo pomagał polskim sportowcom. To dzięki niemu polscy lekkoatleci przed każdą olimpiadą odbywali treningi w Hiszpanii na koszt tego kraju. Oczywiście, miało to miejsce wtedy, gdy polski sport stał na niezłym poziomie. Ukoronowaniem działalności Kazimierza Tylko będzie sześćojęzyczny słownik sportowy.

Trzeci z „konfederatów” jest Poznaniakiem. Urodził się w 1923. Brał udział w wojnie jako żołnierz armii generała Andersa. Koniec wojny zastał go we Włoszech. Podjął wówczas studia w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Ewakuacja aliantów spowodowała, że musiał opuścić Italię. Przyjechał do Madrytu, by wykorzystać stypendium *Pax Romana*. Zmienił wtedy kierunek studiów na medyczne ze specjalnością kardiologiczną. Po zdobyciu dyplomu pracował cały czas w klinice sławnego internisty Jiménez de Díaza, który był jego profesorem. Ożenił się z Hiszpanką i ma dorosłego syna. Nigdy nie zrezygnował z uprawiania sztuki, maluje i rzeźbi. Jest członkiem hiszpańskiego stowarzyszenia lekarzy — pisarzy i artystów. Odkąd zaprzestał pracy zawodowej, więcej czasu poświęca sztuce i ma wiele wystaw. Maluje krajobrazy Hiszpanii, ale tworzy także krajobrazy ojczyste; motyw zaśnierzonych pól, po których suną sanie, galopujące konie, sceny batalistyczne — wszystko dynamiczne, pełne ekspresji, przeniknięte duchem romantyzmu, zbliża się niekiedy tonacją do poezji Łobodowskiego. W rzeźbie króluje koń, sam lub z jeźdźcem. Miro (hiszpańscy i polscy przyjaciele tak skrócili słowiańskie imię malarza) ilustrował poezje przyjaciela, a ostatnio obaj myśleli o wydaniu tomu wierszy o koniach, bogato ilustrowanego.

Staś, Kazek i Miro, miłośnicy poezji i wina — razem z Józkiem stanowili trzon „konfederacji barskiej” — to była przyjemna strona ich znajomości. Ale także współpracowali w redakcji „Polonii” i w polskiej audycji, a przede wszystkim wspierali siebie nawzajem i pomagali samotnemu poecie. Każdy z nich pochodził z innej strony Polski i czym innym zajmował się zawodowo, każdy stanowił odrębną silną osobowość i to właśnie ożywiało atmosferę ich spotkań.

Pierwszy raz widziałam ich w polskim kościele w Madrycie przy ulicy Zurbarana, zajmowali pierwszą ławkę i potężnymi głosami śpiewali stare polskie pieśni adwentowe między innymi: „Archaniół Boży Gabryjel posłan do Panny Maryjey”..., akcentując z upodobaniem archaiczne końcówki. Było to w pierwszą niedzielę grudnia 1981 roku. Potem wszyscy uczestnicy mszy świętej przeszli do mieszkania księdza prałata Mariana Walorka, duszpasterza Polaków, pełniącego tę misję aż do śmierci, (która nastąpiła w grudniu 1988 roku, w kilka miesięcy po zgonie Łobodowskiego). Zeszło się tam mnó-

stwo osób i dziwne, że pomieścili się w maleńkim mieszkaniu. Ksiądz wrócił właśnie z Rzymu, miał więc o czym opowiadać, a poza tym zawsze było dużo bieżących spraw, którymi żyło polskie środowisko. Moja uwaga skupiła się wtedy na gospodarzu i na poecie. Obu przyjaciół Łobodowskiego poznałam bliżej nieco później. Miało to miejsce w barze Hermanos Portillo. Pewnego razu umówiłam się o późniejszej porze niż zwykle i właśnie wtedy przyszedł Kazek z żoną i Miro. Piliśmy czerwone wino, rozmawialiśmy o sytuacji w kraju, potem o poezji Józia, któremu przyjaciele zarzucali, że nie idzie z prądem czasu, wreszcie próbowaliśmy ustalić słowa starych przebojów, tego o „pięciu chłopcach z Albatrosa” i innego o „Mariannie, która, gdyby była zakochaną, nie spałaby w tę noc, w tę cudną noc”.

Gdy zabrakło Łobodowskiego, wielokrotnie spotykałam się z jego przyjaciółmi. Czasem u Kazka, gdzie gawędziliśmy słuchając świetnie nagranej muzyki, a nawet kiedyś zdarzyło się nam tańczyć, przy czym pan domu i jego żona pokazali niedościgną klasę. Najczęściej jednak spotykaliśmy się w barze (tym samym co zawsze) i wypiuwszy po lampce wina (przepraszam: Miro pił koniak, co mu *nota bene* miano za złe) przynosiliśmy się do przytulnego mieszkanka pani Jadzi Ostrowskiej, gdzie na obszernym, ukwieconym tarasie, w cieniu pięknego modrzewia, wysoko nad dachami Madrytu, wspominaliśmy Józia i rozważaliśmy sprawy polskie.

Pani Jadzia była architektem i do Madrytu przyjechała z Ameryki w 1963, gdy owdowiała, a jej córka i zięć zdecydowali się wrócić do Europy. Od razu nawiązała kontakt z rodakami i bywała zarówno na polskich nabożeństwach jak i na piątkowych kolacjach w Obelisku. Kiedy jednak właściciel restauracji zmarł, a jego syn zdecydował zamknąć wcześniej lokal, bo poza Polakami nikt tam wieczorem nie przychodził, pani Jadzia zaproponowała spotkania w swoim domu. Przez wiele lat co środę przygotowywała na kolacje polskie dania: chłodnik, ulubioną zupę pomidorową z ryżem i różnego rodzaju „kluseczki” (zawsze wspomniano je zdrobniale). Przychodzili Lobo, Staś, czasem Miro, często i inni, zwłaszcza latem, gdy powysyłali rodziny na wakacje. Pani Jadzia była osobą przemiłą, nigdy nie wysuwającą swojej osoby na pierwszy plan. Ceniła Józia jako poetę, podziwiała jego zdolności, inteligencję i nadzwyczajną erudycję, i godziła się z tym, że to właśnie on musiał mieć zawsze rację we wszystkim. Lubiała go i zawsze chętnie pomagała.

Jadzia zmarła 11 czerwca 1992 roku. „Spotykamy się, jak zawsze na pół drogi, czyli w kawiarni «pod Jadzią» (pisał do mnie Miro na Boże Narodzenie 1993) często spoglądając w górę na *atico*, gdzie nadal chwieje się na wietrze stary cyprys, świadek naszych spotkań na tarasie.”

Pewnego razu Kazek pokazał mi starą fotografię: na tle wielkomiejskich kamienic i bezlistnego drzewa cztery postaci: w środku dwie młode panny, po bokach mężczyźni. Panny mają długie czarne suknie do samej ziemi, tak że stóp wcale nie widać, ręce zakrywają koronkowe rękawiczki, w dłoniach różańce z dużymi krzyżami, na głowach koronkowe mantylki upięte na wysokich grzebieniach. Wierna ilustracja opisu Łobodowskiego z *Requiem dla milego miasta*. Na odwrocie niewyraźnie odcisnięta pieczęć: *Atelier Santiago... Madrid, 22 mar. 1951*. Ustawiłam te dane na uniwersalnym kalendarzu XX wieku — wychodzi: czwartek, Wielki Czwartek!

Są tam przyjaciółki: Amelia i Marisa. Mylił się poeta tylko w tym, że suknie są jednakowe. Amelia ma luźniejszą, z szerszą górą, suknia Marisy ma stanik dopasowany, jest mocno ściśnięta w talii, bardziej podkreśla sylwetkę dziewczyny. Widać wyraźnie, że Marisa jest „wspaniale zbudowana”. (Przypomniało mi się określenie Łobodowskiego, użyte, gdy pytałam, czy Sana — Zuzanna Ginczanka — była naprawdę piękna. Piękna? — powtórzył z zastanowieniem i odpowiedział z przekonaniem: Była wspaniale zbudowana.)

Marisa ma postawę królewską i jest prześliczna: rysy regularne, nos zgrabny, brwi mocno zarysowane. Jej przyjaciółka, Amelia, równa wzrostem, także bardzo ładna, ma ujmujący uśmiech, bardzo dużo wdzięku, ale jest jakby troszkę onieśmielona. Amelia trzyma pod rękę przystojnego Kazia Tylkę, Marisa lekko ujmuje ramię Józia. Obaj panowie są eleganccy, w ciemnych garniturach, krawatach. Józio ma falujące włosy i brwi uniesione jak przecinki. Wszyscy czworo uśmiechnięci.

W Wielki Czwartek 1949 roku obaj poznali przyjaźniące się ze sobą dziewczęta i pewnie dlatego na całe życie zapamiętał Łobodowski i tak bardzo polubił stroje noszone przez mieszkanki Madrytu w okresie Wielkiego Tygodnia. Obaj zakochali się. Kazek po kilku latach narzeczeństwa (w Hiszpanii wypadalo, by trwało ono kilka lat i miało swój rytuał, swoje przywileje i ograniczenia), ożenił się z Amelią, wychował dwóch synów i do dziś pozostaje u boku swej pani. Józio, namiętnie zakochany, nie wzbudził wzajemności pięknej i dumnej Marisy. Pisał dla niej wiersze, cierpiał i szalał. Gdy dowiedział się, że ma narzeczonego, poszedł na wydział, na którym tamten studiował i pobił go tak dotkliwie, że został podany do sądu i skazany na grzywnę. Wysłuchawszy wyroku, oświadczył, że gdyby przewidział tak niewysoką cenę, pozwoliliby sobie na więcej.

Jego znajomi dobrze zapamiętali awantury, jakie urządzał, ale wiersze miłosne z tego okresu odkrywają dramat polegający na czym innym niż brak wzajemności, zdrada, odrzucenie. Jest to bezsilność i rozpacz mężczyzny nie będącego w stanie dać ukochanej kobiecie tego, czego ona potrzebuje, tego, czego pragnie. „Nie móc? — to piekło!” — rozpaczal Kordian i te słowa nachodzą mnie, gdy czytam wiersze miłosne Łobodowskiego.

Łobodowski mieszkał zawsze w dzielnicy Moncloa, niedaleko uniwersytetu Complutense, najczęściej w tej samej kamienicy, blisko Tylków. Jako swój adres podawał zawsze ich mieszkanie przy ulicy Joaquín María López. Co dzień zachodził do nich co najmniej raz dziennie po pocztę. W latach 1953–1954 przez półtora roku mieszkał nawet u swego przyjaciela. Było to wtedy, gdy ciężko zachorowawszy na gruźlicę, przeszedł bardzo poważną operację płuc, a potem odbywał długą rekonwalescencję. „Ja byłem jego opiekunem, sekretarzem i prawie felczerem, bo przeszło dwa tysiące zastrzyków zrobiłem mu, między innymi dożylnych — opowiadał mi Kazek, pokazując swoje mieszkanie. Tego wysokiego budynku na przeciwko nie było, więc mieszkaliśmy jakby poza Madrytem. Tutaj był Józio, po raz pierwszy w życiu, jak sam twierdził, w królewskich warunkach. Miał zapewnioną opiekę lekarską wszystkich przyjaciół Mirka, Staszka Janczura, który już nie żyje, wielkich specjalistów, którzy go pielęgowali najlepiej, jak mogli. We mnie miał sekretarza, miał opiekunkę — moją narzeczoną.”

Do Kazimierza i Amelii przyłgnał na zawsze. Opowiadała mi Linka Babecka, że gdy po ślubie Tylków został sam w domu, nie wytrzymał i już trzeciego dnia dołączył, by towarzyszyć im w podróży poślubnej. „Amelia jest aniołem — zapewniała mnie z głębokim przekonaniem Linka, kiedy nikt już nie mógł wytrzymać z Łobodowskim, ona wytrwałe do ostatnich dni opiekowała się nim.” Kiedy powtórzyłam Amelii, że jest aniołem odrzekła tylko: „On bardzo kochał nasze dzieci”. To prawda. Zawsze wiedział, jak im idzie w szkole, ich marzenia i smutki znał lepiej niż ojciec, całe życie zapracowany. Gdy miał pieniądze, robił im prezenty. Nie mogąc znieść tego, że starszy syn przyjaciół, jego chrześniak, ma gorszy rower niż jego kolega, natychmiast wysłał do Londynu monit o pieniądze i kupił chłopcu rower jeszcze lepszy. Bardzo był przywiązany do pani Amelii. Ciężko przeżywał sympatię, jaką jej okazywali inni mężczyźni. O pewnego Polaka był tak „w imieniu męża” zazdrosny, że miał za złe przyjacielowi, iż „wielbicielowi” żony nie robi awantury i nie wyrzuca go z domu.

Okres rekonwalescencji spędzał Łobodowski bardzo pracowicie. Z inicjatywy Mariana Hemara i Tadeusza Nowakowskiego ogłoszono wtedy subskrypcję jego dzieł, co

spowodowało, że otrzymał cztery tysiące funtów, wielką sumę. Oddalenie trosk materialnych, polepszanie się stanu zdrowia, zwolnienie od wszelkich kłopotów codziennych, otoczenie przyjaźnią, życzliwością i wiarą w jego talent, spowodowało, iż mimo że był jeszcze słaby, zabrał się do intensywnej pracy. Przygotował do druku (z pomocą przyjaciela, który wszystko przepisywał na maszynie) tom fraszek i poemat *Uczta zadziumionych*, napisał trylogię powieściową *Komysze, W stanicach i Droga powrotna* — tysiąc czterysta stron prozy; opracował tom wierszy o tematyce ukraińskiej *Złota hramota*. Można przypuszczać, że gdyby nie musiał całe życie borykać się z kłopotami finansowymi, zostawiłby po sobie dzieło o wyższym ciężarze gatunkowym.

„Mówiłem do was co wieczór...”

Nieliczna kolonia polska w Madrycie bardzo się zespoliła i urosła w siłę w 1949 r., gdy powstała Audycja Polska Narodowego Radia Hiszpanii. Audycja ta zapisała się złotą czcionką w historii Polski i Polonii, jak słusznie twierdzą jej twórcy, a dzięki niej Madryt stał się jednym z ważniejszych ośrodków życia emigracyjnego, oddziałując na kraj i na Polaków rozproszonych po świecie.

Decyzję o nadawaniu różnojęzycznych audycji dla słuchaczy w krajach opanowanych przez komunistów podjął sam general Francisco Franco po rozmowach z politykami reprezentującymi te kraje. Zadanie to powierzył Ojcu Santiago Morillo, jezuitcie, który przez kilka lat pracował w Dubnie koło Lwowa. Santiago Morillo był poliglotą, znającym osiemnaście języków, w tym słowiańskie, i dobrze orientował się w zagadnieniach Europy Wschodniej i Środkowej. Był organizatorem studiów slawistycznych w Madrycie. To właśnie on wprowadził do świadomości Hiszpanów pojęcie Europy Środkowej i przekonywał zawsze o ważności tego obszaru dla przyszłości kontynentu. Przed powołaniem polskiej audycji ojciec Morillo rozmawiał z byłym ambasadorem Marianem Szumlakowskim i z ministrem pełnomocnym Józefem Potockim, a także z radcą do spraw kultury w Poselstwie Polskim, Henrykiem Łubieńskim. Jako pierwszą zatrudnił spikerkę Karolinę Babecką, młodą, inteligentną, błyskotliwą. Urodzona w Warszawie, a wykształcona w Madrycie świetnie się nadawała do tej roli. Porzuciła tę pracę w 1952, ale zastąpił ją brat, Andrzej. Od razu też podjął pracę spikera Mirosław Sokółowski, student medycyny, wyróżniający się świetną dykcją, jego głos brzmiał w eterze przez dziesięć lat, póki obowiązki zawodowe pozwalały na to. Tłumaczenie listów, przychodzących z Polski powierzone Kazimierzowi Tylce, ale już w maju 1950 awansowano go na redaktora i spikera. Prowadził też kronikę sportową i miscellanea sportowe, ale był tak wszechstronny, że zajmował się również tematyką obyczajową i religijną. Józef Łobodowski od razu stał się *spiritus movens* audycji. Sekretarzem był Stanisław Rylski.

Pierwszy program w języku polskim nadano 11 stycznia 1949 roku. Wtedy Rząd Londyński uświadomił sobie znaczenie, jakie może mieć głos polski dochodzący z Hiszpanii, jedyne państwa w Europie, które nie nawiązało stosunków z władzami komunistycznymi w Warszawie i oddelegował do prowadzenia audycji wytrawnego specjalistę, znanego z rozgłośni warszawskiej, a potem londyńskiej, Karola Wagnera (prawdziwe nazwisko: Pieńkowski). On to razem z Józefem Łobodowskim stworzył podwaliny tej antykomunistycznej rozgłośni. Kiedy w 1954 roku przeniesiono Wagnera do powstającego wtedy Radia Wolna Europa, kierownictwo sekcji polskiej w Madrycie objął Wojciech Sariusz Zaleski. Była to także postać wybitna, choć nie był z zawodu radiowcem. Zaleski był historykiem górnictwa i hutnictwa śląskiego, publicystą i redaktorem wielu pism

ekonomicznych. Działal w Stronnictwie Narodowym i był jednym z ośmiu założycieli organizacji konspiracyjnych „Pobudka” i „Konfederacja Narodu”. Po wojnie przebywał w Monachium, a po 1951 w Paryżu, gdzie pracował jako rzeczoznawca European Cooperation Administration. W 1954 przeniósł się do Madrytu. Pisał do kwartalnika „Estudios Sobre el Comunismo y Oriente Europeo”. Był członkiem Towarzystwa Literackiego w Paryżu i Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, pisywał do „Kultury” i „Orla Białego”. Zmarł w 1960 roku. Po nim objął redakcję Ludwik Krajewski, występujący jako Kownacki, dobry publicysta, znający języki obce.

Wkrótce Radio Madryt zaczęło nadawać także programy w językach: węgierskim, chorwackim, słowackim, ukraińskim, białoruskim, litewskim, estońskim, lotewskim, chińskim, czeskim, bułgarskim, rumuńskim i albańskim. Rozgłośnia rosyjska była starsza od polskiej. Polska miała nad innymi tę przewagę, że nadawano ją wieczorem, gdy słyszalność była największa i powtarzano rano następnego dnia. Początkowo trwała pół godziny, potem przedłużono ją do godziny.

Każdy program składał się z czterech części: dziennika, komentarza, rozmaitości i pogadanki na temat polityczny, kulturalny, lub gospodarczy. Audycja polska miała autonomię, była wolna od kontroli. Decyzje podejmował Wagner, z którego autorytetem liczyli się wszyscy współpracownicy, nawet nieokielznany Łobodowski. Wagner pisał tekst dziennika po polsku, mówiono mi, że czasem ze względów kurtuazyjnych umieszczał informacje np. o tym, że generał Franco kogoś przyjął, a na marginesie dodawał uwagę: „tego nie czytać!”. Po nadaniu audycji hiszpańskie tłumaczenie (oczywiście bez uwag na marginesie) przekazywano do archiwum. Łobodowski był nieprzejednany, gdy chodziło o czystość języka i walory literackie programu. On to sprawiał, że pewni autorzy otrzymywali wprawdzie honoraria, ale nigdy nie słyszeli swych audycji.

Wagner i Łobodowski — to nazwiska twórców polskiej audycji radia Madryt. Łobodowski pracował w niej od początku do końca (podobnie jak Kazimierz Tylko) i oddawał się jej całkowicie⁴. Sześć dni w tygodniu słyszano (mimo zagłuszenia) jego tubalny głos, dobrze rozpoznawany przez słuchaczy z Polski, a zniechęcony przez warszawski reżym. Karykaturzyści przedstawiali Łobodowskiego, jak klęczy przed generałem Franco i zbiera monety sypane z rogu obfitości, a Babecką jako żmię, sączącą jadowne plugawe słowa. Gwoli prawdy, należy powiedzieć, że pensja radiowca wynosiła tysiąc peset, co nie było specjalnie dużo, a Łobodowski taki już był, że nigdy się na pieniądze nie łąkomił.

W poniedziałki i piątki poeta wygłaszał pogadanki kulturalne na tematy aktualne, albo wynikające z rocznicy. Mogły one dotyczyć polskiej sztuki ludowej, mieć charakter wspomnieniowy, informowały o nowościach literatury emigracyjnej lub polemizowały z prasą krajową. W środy też miał pogadankę, oficjalnie autorstwa Stanisława Rylskiego, który jednak nie miał zdolności literackich, więc ograniczał się do dania swego nazwiska. Dwa razy w tygodniu prowadził Łobodowski miscellanea, dwa razy w tygodniu przygotowywał całość, włącznie z dziennikiem, przy czym w jego opracowaniu komentarz górował nad informacją. Redagował też kronikę międzynarodową, korzystając w dużym stopniu z komentarzy Wierzbiańskiego i Dąbrowskiego z prasy emigracyjnej. W ostatnim okresie prowadził tę kronikę Kazimierz Tylko. W niedziele nadawano muzykę i transmitowano nabożeństwa. Jedynie tego dnia znakomity głos Łobodowskiego nie rozbrzmiewał w eterze. Mówiąc do mikrofonu podniecał się tak, że kolega zza reżyserskiej szyby nieraz mu dawał znaki uswiadamiające, że logiczność argumentacji jest wystarczająco przekonująca i nie trzeba jej wzmacniać, a raczej zagłuszać, siłą głosu.

⁴ Zob. wspomnienie J. Łobodowskiego pt. „*Tu mówi Madryt*”. *Zeszyty Historyczne* (Paryż) 1980 z. 54.

*Mówilem do was co wieczór. Czerwone światło zapalało się.
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość.
Słowa biegły w mrok — iskry rzucały na hazard.
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem
kogoś, kto chętnie chwycił iskrę na pierś,
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.*
(List do kraju)

Znaczenie Radia Madryt w latach stalinowskich, kiedy nie było jeszcze Radia Wolnej Europy, było bardzo duże. Redakcja otrzymywała wtedy przeciętnie dziesięć listów dziennie od słuchaczy z kraju, co biorąc pod uwagę trudność w wysłaniu korespondencji z Polski do Hiszpanii, było po prostu niezwykle. Wynikało z nich, że radia madryckiego słuchali przede wszystkim robotnicy (40%) i młodzież (30%), głównie przesiedleńcy na ziemi zachodniej — ludzie zmęczeni, rozgoryczeni, ci, którzy nie akceptowali powojennych układów, żywili pretensje do zachodu i tylko w przyszłej wojnie widzieli rozwiązanie. (Pisał o tym J. Łobodowski w artykule *Wołanie o ratunek*, „Kultura” 1951, nr 5.)

Mimo skrupulatnych poszukiwań, nie udało mi się odnaleźć archiwum Radia Oriente. Prawdopodobnie już nie istnieje. Skonstatowawszy to wreszcie, poszłam śladami ojca Santiago Morillo, mając nadzieję, że on zachował swoje prywatne archiwum. Dowiedziałam się, że już nie żyje, ale jego legat złożono w bibliotece Uniwersytetu Katolickiego de Comillas pod Madrytem. Pewnego majowego dnia 1980 roku wsiadłam w podmiejski autobus wypełniony studentami i pojechałam. Z wielką nadzieją przekraczałam próg biblioteki zajmującej osobny budynek usytuowany w centrum uniwersytetu. Stary archiwista ogromnie się ucieszył, gdy mu powiedziałam, czego szukam i z satysfakcją zaprowadził mnie do regałów, na których zgromadzone były książki i pisma w językach słowiańskich. Z dumą zapewnił mnie, że przez te wszystkie lata niczego nie wyrzucił, choć zawsze brakowało miejsca na nowe nabytki i że wszystko leży tak, jak przywieziono od ojca Morillo. Rzeczywiście, nikt tego nie ruszał, nie katalogował, a nawet nie odkurzał. W ciągu paru godzin przejrzałam wszystko, nie było tego dużo i znalazłam parę tomów Łobodowskiego, trochę prasy emigracyjnej, ale nie było nawet śladu czerwonych teczek z tekstami polskich audycji.

O tych czerwonych teczkach mówili mi współpracownicy polskiej audycji: Kazimierz Tytko i Mirosław Sokółowski. Wprawdzie oni sami niczego nie zachowali, ale dali mi adres syna Wojciecha Zaleskiego mieszkającego w Burgos. Napisałem do niego i okazało się, że żona pana Wojciecha, zbierała teksty swojego męża, a syn je nadal przechowuje. Dostałam odbitki pogadank z lat 1956–1960. Dotyczą zagadnień krajowych i życia emigracji polskiej, mówią o polityce, kulturze, religii. Sporo miejsca zajmują polemiki z prasą krajową. Zwróciłam uwagę na pogadankę wygłoszoną przez szefa audycji w siódmą rocznicę jej powstania, czyli 11 stycznia 1956 roku. Zaleski stwierdził, że dewizą Radia Madryt jest „prawda i tylko prawda”. I dodał: „Nie są to próżne przechwalki. Gdy szukamy słów, które rzucić mamy na papier, gdy potem znowu patrzymy na te słowa i powtarzamy je sobie w myśli, by raz jeszcze sprawdzić tekst przed oddaniem go spikerom, nie pytamy siebie, jaki wpływ wywrą te słowa na słuchaczy. Stawiamy jedno tylko pytanie: czy to prawda? W naszych dyskusjach na zarzut, że to lub owo brzmi zbyt pesymistycznie lub zbyt optymistycznie — odpowiadamy argumentem: Być może, ale mówiliśmy prawdę. Dyskusja jest wówczas zamknięta. [...]”

Tak się składa, że wśród obecnych i dawnych współpracowników naszej redakcji są i tacy, którzy z krajów sojuszniczych kierowali swe słowa ku Polsce pod okupacją hitlerowską i tacy, którzy wiele nocnych godzin spędzili wówczas w kraju przy aparatach

odbiorczych, powtarzających głos płynący z tamtej strony. Dlatego znamy straszliwy ciężar odpowiedzialności za słowa, kierowane do ujarzmionego kraju. Nie mogą one budzić nadziei złudnych, bo wówczas przyniosłyby więcej szkody niż pożytku. Nie mogą być narkotykiem, ale nie mogą też być trucizną, która odbiera nadzieję.

Jakże mogłyby ją odbierać, skoro idziemy po drodze prawdy, a prawda musi zwyciężyć. [...] Jakże nędzne wydają się nam te słowa. Jakże szczupłe wydają się nam nasze siły wobec ogromu i trudu zadań, jakie przed nami stoją”.

Hiszpanie po śmierci generała Franco zamknęli audycję i jej archiwum zniszczyli. Pozostawili też pracowników Radia Oriente w trudnej sytuacji materialnej. Ucierpiał na tym przede wszystkim sześćdziesięcioletni wówczas Łobodowski, który utrzymywał się wyłącznie z pracy w radio i z pióra. Gdy zamknięto audycję, ustalono dla niego pewną miesięczną sumę, która wprawdzie wtedy wystarczała na skromne utrzymanie, ale po piętnastu latach znaczyła już niewiele. Skarży się Łobodowski w swym niebieskim notesie z 1980 roku: „Oczywista, mógłbym się urządzić zupełnie inaczej, to znaczy, mądrzej. Gdybym zamiast upierać się przy hiszpańskim winie przeniósł się swego czasu na monachijskie piwo, siedziałbym od kilku lat na emeryturze a i wyszedłbym na nią z zaoszczędzonym grosiwem, a w Madrycie zarabiałoby się niewiele”.

Zaproponował wtedy współpracę pewnej audycji polskiej, nadawanej w jednej ze stolic (może z Paryża?). Ale mu odmówiono mówiąc, że rząd prowadzi politykę pojednawczą, więc nie można angażować kogoś, kto jest znany ze stanowiska antykomunistycznego, nawet jeśli ma się nie wypowiadać na tematy polityczne. „Nazwisko nieodpowiednie.”

Już w 1945 roku spełnił Łobodowski swą obietnicę pokazania Hiszpanom Polski nie przez okulary niemieckiej firmy Zeissa, przez które przez całą wojnę na Polskę patrzyli, ale z własnego punktu widzenia. Biorę tę książkę do ręki. Okładka szara (może była biała, a może kremowa). Na niej pod nazwiskiem autora: *Por nuestra libertad y la vuestra* — Za naszą wolność i waszą, niżej znak Polski Walczącej, a pod nim druga część tytułu *Polonia sique luchando* — Polska nadal walczy. Ktoś mi bliski spostrzegł ten tom u madryckiego antykwariusza, kupił bez chwili wahania i podarował mi. Było to w maju 1984 roku. Pokazałam tę książkę autorowi. Usprawiedliwiał się, że nie znalazł wtedy dobrze języka hiszpańskiego, ktoś mu zrobił korektę, ale do druku przez pomyłkę poszedł maszynopis bez poprawek, dlatego książka zawiera sporo usterek językowych. Moja znajomość hiszpańskiego nie była pewnie lepsza niż autora, bo przeczytałam bez trudu jego dzieło i nie dostrzegłam błędów.

Na trzystu stronach opisał Łobodowski przebieg ostatniej wojny, pogłębiony licznymi informacjami o historii, geografii i etnografii Polski. We wstępie, tak jak w *Uczcie zadziwionych*, opisuje Paryż świętujący w bezgwiazdzną noc majową 1945 zakończenie wojny. On włóczy się po mieście i zatrzymuje się na placu Almá pod pomnikiem wielkiego poety, który przez całe swe dorosłe życie szukał drogi do Polski. Przewiduje, że ten sam dramat będzie udziałem pokolenia żołnierzy 1939 roku. „Nasze pokolenie nie dożyje prawdopodobnie zwycięstwa — pisał proroczko w zakończeniu książki w rozdziale *Nil desperandum*. Żniwo walki, która nas czeka, będzie zebrane przez naszych potomków. Ale życie narodu nie liczy się latami ani wiekami, ale tysiącami lat i los jednego pokolenia nie znaczy wiele.”

Łobodowski odczuwał dzieje w dwóch wymiarach: czasu danego jednostce i narodowi. Niestety, dla siebie i swych współczesnych, nie widział lepszej przyszłości. Jak

Kassandra zawsze przewidywał nieszczęście — i zawsze się sprawdzało. Stał się więc wyrocznią prawdy. W 1956 roku, podczas powstania węgierskiego, gdy powszechna była nadzieja na wyrwanie się Węgrów z obozu sowieckiego, ostro starł się z pracownikami Radia Oriente, a przede wszystkim z kolegami z audycji węgierskiej, nadającymi wtedy w dzień i noc wiadomości z Budapesztu. Wszyscy pragnęli zwycięstwa Węgrów i wierzyli w nie, tylko on jeden krakał, że nie mają żadnych szans, tak, jak nie mieli ich powstańcy Warszawy w 1944.

Podobnie patrzył na wszystkie zrywy następujące co jakiś czas w różnych krajach Europy podbitej przez Sowiety. Źródło nieszczęść widział w przebiegu i zakończeniu wojny, dlatego w jego publicystyce i w rozmowach z nim wciąż powracało pytanie: Czy wojna mogła zakończyć się inaczej?

Hiszpania dzięki polityce generała Franco uniknęła udziału w wojnie światowej i od zakończenia wojny domowej, czyli od pierwszego kwietnia 1939, leczyła swoje rany.

„Nigdy nie byłem i nadal nie jestem bezkrytycznym entuzjastą wojskowo-policyjnych rządów generała Franco, ale wiem także, od jakich niebezpieczeństw Hiszpanię uratował i co dobrego zrobił” — często powtarzał autor *Por nuestra libertad y la vuestra*. Teraz, po wojnie, następował proces liberalizacji i otwierania się na świat. Hiszpania zbliżała się stopniowo do demokracji europejskich i rozwijała gospodarczo przeobrażając się z kraju biednego, z którego emigrowano „za chlebem”, w kraj zamożny, nowoczesnie zarządzony. Powracali do ojczyzny emigranci. W 1948 wrócił wielki filozof José Ortega y Gasset, by założyć Instytut Humanistyczny, w którym współpracowali z nim filozof Julian Marias oraz poeta Dámaso Alonso. Coraz większą siłę stanowili studenci; ich strajki i manifestacje w latach pięćdziesiątych wykazały, że nie chcą poddawać się dyktaturze politycznej ani intelektualnej, ani nawet obyczajowej. Do myśli hiszpańskiej przeniknął egzystencjalizm i neopozytywizm, Heidegger i Sartre zyskali zwolenników w kołach akademickich. Szybko odzyskiwała Hiszpania swoją wysoką pozycję w dziedzinie sztuki. Salvador Dalí, wielki surrealista, ale i zwolennik generała Franco, nigdy nie opuścił ojczyzny, co ułatwiło sytuację awangardy. Od 1951 tworzyły się liczne grupy malarzy abstrakcjonistów (najbardziej aktywna była El Paso z Antonio Saurą i Luísem Feito), organizowano wystawy, w 1956 otwarto w Walencji Pierwszy Narodowy Salon Sztuki Nie-figuratywnej, a potem Muzeum Sztuki Abstrakcyjnej w jednym ze średniowiecznych „domów wiszących” w Cuence. Od 1952 działała w Barcelonie „Grupa R” wprowadzając tendencje racjonalistyczne do architektury i budownictwa. Lata sześćdziesiąte zaznaczyły się sukcesami w dziedzinie sztuki filmowej. Tradycje Buñuela podjął Carlos Saura tworząc pełen symboliki film „Anna i wilki” oraz Luísa García Berlanga, autor filmów ironicznych („Bienvenidi Mr Marschal”), operujących czarnym humorem także wtedy, gdy jak np. w „La Vaquilla” pokazywał wojnę domową.

W dziedzinie literatury szybko minął okres panowania twórczości (z obu stron) tendencyjnej. Znaczną rolę odgrywali znowu poeci pokolenia 1927: Juan Ramón Jiménez, który w 1956 otrzymał Nagrodę Nobla, Carlos Riba — wielki poeta kataloński i autorytet moralny, od 1943 znów mieszkający w Hiszpanii, Gerardo Diego — kontynuujący przerwana przez wojnę domową ciągłość świetnej poezji kastylijskiej. Byli to twórcy znani, cenieni i przekładani przez Łobodowskiego. Pojawiali się też młodszy, równie utalentowani: Vicente Aleixandre (także laureat Nagrody Nobla), Josep V. Foix, Salvador Espriu i cała nowa generacja, której polski poeta już nie akceptował. Ciągłe jednak tłumaczył hiszpańskich poetów i dramaturgów i co pewien czas drukował swe przekłady Lopego de Vegi, Tirso de Moliny, Calderona de la Barki, Garcii Lorki, Juana Ramona, J.R. Jimenez i innych, przygotowując w ten sposób pełną antologię poezji hiszpańskiej od wieku XIII, zatytułowaną *Droga do Toboso* i uzupełnioną własnymi wierszami o

ojczyźnie Cervantesa. W Polsce twórczość przekładowa Łobodowskiego była zupełnie nieznaną i mało kto zdaje sobie sprawę z rozmiaru straty z tego wynikającej.

Znaczną rolę odgrywały coraz to nowe pisma budzące ożywienie umysłowe, zwłaszcza takie jak „Insula”, „Indice”, „Teoría” czy „Boletin”. Ważną rolę w zaspokajaniu zainteresowania kulturą europejską spełniał miesięcznik, a potem tygodnik „Mundo Literario” redagowany przez Gallego. Było to pismo legalne lecz opozycyjne. Współpracował z nim pisarz i malarz Estaban Sanz, postać bardzo barwna. Sanz był synem szewca z Valladolid. Należał do Falangi. Miał usposobienie awanturnika, mieszkał w Madrycie z prostytutką. Przyjaźnił się z Łobodowskim i nieraz korzystał z jego pomocy. Z tym hiszpańskim malarzem spotkał się w Argentynie Witold Gombrowicz i poświęcił mu kilka zdań w *Dzienniku 1953–1956*:

„Przybyły tutaj na dwa miesiące, sprzedał obrazów za kilkaset tysięcy, zna Łobodowskiego i bardzo go ceni. Pomimo że zarobił w Argentynie sporo forsy, odzywa się o niej bez zapału. «W Madrycie człowiek siedzi przy stoliku kawiarnianym na ulicy i, choć nic konkretnego go nie oczekuje, wie, że wszystko może się zdarzyć: przyjaźń, miłość, przygoda. Tutaj wiadomo, że nic się nie stanie.»

A jednak los sprawił, że mimo początkowej niechęci, Estaban Sanz osiadł na amerykańskim kontynencie i znany jest obecnie jako znakomity twórca przyrodniczych filmów o Andach.

W Walencji, w domu chrzestnego syna Józefa Łobodowskiego, wisi wielkich rozmiarów portret pędzla Estabana Sanza. Poeta jest przedstawiony jako średniowieczny rycerz, w zbroi, z buławą w rękę, na tle sztandaru Ukrainy. Na obrazie widnieje, dawnym zwyczajem, łaciński napis: *Józef Łobodowski dux et hetman cohortium poeticarum delinavit et pinxit E. Sanz.*”

Przez pewien czas *don José*, wciągnięty do redakcji „Mundo Literario” przez swego portrecistę pisywał dla tego pisma, ale jego zapal szybko minął i porzucił redakcję. Przypuszczam, że zrobił to dlatego, że w odróżnieniu od młodych czytelników hiszpańskich niezbyt się interesował literaturą europejską, znajdującą się wówczas pod wpływem modnej filozofii egzystencjalnej i nie miał żadnego zrozumienia dla poezji lingwistycznej autorstwa najmłodszej generacji. „Rewizja ustalonych wartości literackich jest jak najbardziej wskazana i pożyteczna, pod warunkiem wszakże, że w grę wchodzi rzetelna analiza, a nie szczeniackie obrazoburstwo” — pisał w „Orle Białym” w listopadzie 1980 i pogląd ten wyznawał zawsze w teorii i w praktyce. Nie ulegał modom, był wierny sobie i może właśnie dlatego zasłużył na osobne miejsce w dziejach literatury.

Łobodowski interesował się przede wszystkim literaturą polską i sprawami polskimi, dlatego łatwo porzucił „Mundo Literario”, natomiast chętnie przyjął zaproszenie do współpracy z miesięcznikiem „Polonia” i był mu wierny do końca.

„Polonia — revista ilustrada, portavoz de la Cruz Roja Polaca” — organ Polskiego Czerwonego Krzyża, wychodziła od 1955 do 1970 roku pod redakcją Juliusza Babeckiego. Redakcja mieściła się w centrum Madrytu przy ulicy Goyi 6, gdzie przygotowywano także programy radiowe i gdzie w ogóle ogniskowało się życie Polaków. Pismo zapoznawało Hiszpanów z krajobrazem i przeszłością Polski oraz z życiem współczesnym. Łobodowski drukował tam między innymi *Legendę i prawdę o górach Świętokrzyskich*, zakończoną wspomnieniem o Hubalu, legendy lubelskie i historię miasta z ilustracjami Mirosława Sokołowskiego. Inni jako temat brali Tatry, wybrzeże Bałtyku, a także miasta i ziemie odzyskane, uwydatniając słowiańskie i polskie tradycje. W ogóle pisano z życzliwością, wydobywając przede wszystkim osiągnięcia Polaków w gospodarce, kulturze, sporcie. Odnotowywano takie wydarzenia jak powrót arrasów na Wawel, występy polskich artystów za granicą, udział w targach międzynarodowych. Miesięcznik prowadził kronikę życia Polonii: obszernie informował o odczytach wygłaszanych przez Józefa

Potockiego na temat związków Polski i Hiszpanii w przeszłości, drukował nawet całe ich teksty; ogłaszał artykuły Józefa Łobodowskiego o sprawach kultury lub przedrukowywał wygłaszane przezeń odczyty. Można znaleźć w tym piśmie m.in. esej z okazji przyznania Borysowi Pasternakowi Nagrody Nobla (dodajmy, że wiersze zawarte w powieści *Doktor Żiwago* właśnie Łobodowski tłumaczył) i artykuł o Conradzie w stulecie jego urodzin.

Łobodowski ujawniał na łamach tego miesięcznika prawdziwe zainteresowanie polską literaturą współczesną. Przedstawiał sylwetki Sławomira Mrożka, Marka Hłaski i wielu innych pisarzy, których cenil. Co kilka lat dokonywał syntetycznej oceny polskiej literatury i sztuki wskazując na pogłębiający się kontrast między stanem indoktrynacji a poziomem artystycznym. Uprawiał też eseistykę historyczną, pisząc zarówno o Grunwaldzie i Kluszkynie jak i o Monte Cassino. W tym przypadku zwracał uwagę na niewspółmierność między osiągnięciami oręża, a klęskami w polityce. Żywo go interesowała współczesność Polski; na podstawie listów napływających do radia oraz innych źródeł analizował fluktuacje nastrojów i zmienne stany świadomości zbiorowej rodaków: entuzjazm odbudowy, nadzieje Października, rozczarowania schyłku 1957 oraz późniejsze uniesienia i apatie. W pismach polskich: „Wiadomościach”, „Kulturze”, „Orle Białym”, „Dzienniku Żołnierza” prowadził polemiki literackie i polityczne z Miłoszem, Gombrowiczem, Kisielem — w hiszpańskiej „Polonii”, nie powodowany żadnymi bojowymi impulsami, dawał wyraz swym stałym zainteresowaniom. Miał przy tym wycucie odbiorcy, pamiętał, że pisze dla czytelnika hiszpańskiego.

Pięknie oprowiane roczniki „Polonii” udostępniła mi Karolina Babecka, która w coraz większym stopniu współdziałała z ojcem w przygotowywaniu pisma, aż wreszcie stała się rzeczywistą, choć nie oficjalną, redaktorką. Miesięcznik cieszył się protekcją władz Hiszpanii, co wystarczało do jego pomyślnego funkcjonowania. Ze zbytem nie było kłopotów. W każdym numerze zamieszczano listę honorowych prenumeratorów, na której znajdujemy nazwiska ambasadorów wielu państw, gubernatorów licznych prowincji i prezydentów miast hiszpańskich, a także arystokratów i przedstawicieli wyższej hierarchii kościelnej. Wysoko postawione osobistości popierały pismo, ale nie wiadomo, czy je czytały. Wiernymi czytelniczkami „Polonii” były na pewno hiszpańskie żony Polaków, mające okazję co miesiąc dowiedzieć się czegoś nowego o ojczyźnie swych mężów i o sprawach kolonii polskiej, w której życiu uczestniczyły. Języka polskiego przeważnie nie nauczyły się i nigdy nie zobaczyły ojczyzny swych mężów. Przez trzydzieści lat było to niemożliwe, a teraz starszym panom coraz trudniej zdecydować się na pokazanie Polski prawdziwej, różniącej się przecież od legendarnej ojczyzny, o której kiedyś po nocach opowiadali swym żonom. I kraj chyba nie tak piękny i ludzie nie tak szlachetni. Pozostawała „Polonia”, ale dawno już przeminęła, i poezja, która będzie trwać wierna polskiej mowie, ale, niestety, niedostępna tym, co jej nie poznali.

Dzieciom przyjaciół Łobodowski przesłał *Część sentymentalną* swego *Tryptyku zamiast testamentu*. Pisze tam:

*wiem — ten wiersz
do was nie dojdzie,
chyba, że wam ojciec przetłumaczy.*